

Co można było wywalczyć więcej?

Z **TADEUSZEM MAZOWIECKIM**, W SIERPNIU 1980 R.
PRZEWODNICZĄCYM KOMISJI EKSPERTÓW MKS
W GDAŃSKU, ROZMAWIA ANDRZEJ KACZYŃSKI

Andrzej Kaczyński: Jak doszło do waszego wyjazdu, pana wraz z Bronisławem Geremkiem, na strajk w Stoczni Gdańskiej? W jaki sposób zapadła decyzja i jaki plan jej towarzyszył?

Tadeusz Mazowiecki: Pomysł powstał 19 lub 20 sierpnia, podczas zbierania podpisów intelektualistów pod apelem do władz i strajkujących na Wybrzeżu robotników o podjęcie rozmów i pokojowe rozwiązywanie kryzysu – tzw. Apelem 64. Spotykaliśmy się w mieszkaniu Bronisława Geremka na ulicy Piwnej w Warszawie, inicjatorzy apelu i grono osób, które zajmowały się zbieraniem pod nim podpisów. Nie pamiętam już, w którym momencie ani kto pierwszy wystąpił z taką inicjatywą, żeby nie wysyłać tego apelu gdzieś w przestrzeń, tylko zawieźć go i doręczyć bezpośrednio adresatom. Przy czym nie planowaliśmy, że odegramy tam jakąś trwałą rolę, a nawet, że zostaniemy tam na dłużej. Te decyzje zapadły już na miejscu, w Gdańsku.

A.K.: W relacji Tadeusza Kowalika o pracy w komisji ekspertów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego jest jednak domniemanie, że to pan jako pierwszy założył, iż może się nawiązać dłuższa współpraca ze stoczniowcami.

T.M.: Owszem, byłem nastawiony na to, że może to być wyjazd nie tam i z powrotem... Jeżeli okaże się, że będziemy do czegoś w Gdańsku potrzebni, to nie będziemy się przecież uchylać.

A.K.: W pana przypadku zaważyło pewnie wspomnienie podróży na Wybrzeże w styczniu 1971 r., tuż po krwawym stłumieniu grudniowego protestu robotników Trójmiasta, a potem bezowocnych prób nakłonienia postów do zbadania tej tragedii przez specjalną komisję sejmową?

T.M.: Tak, ale nie tylko. Wydarzenia lata 1980 r. były ewenementem. W lipcu w Lublinie władza po raz pierwszy podjęła rozmowy ze strajkującymi robotnikami, wprawdzie wyłącznie o sprawach płacowych i pracowniczych, nie pojawiły się tam żadne szersze tematy, o ogólnopolskim wymiarze. Ale w Gdańsku takie postulaty już się ujawniły i zanosilo się na bardzo duże wydarzenie. Było naszą ogromną troską, ale też i nadzieją, że tym razem nie zakończy się to w sposób krwawy. Chcieliśmy się do tego przyczynić. Czuło się w powietrzu, że ten kierowany przez Edwarda Gierka układ partyjny zmierza do kryzysu, wydarzenia w Lublinie były tego zapowiedzią. Powstała szansa, że może tym razem postulaty społeczne jakoś się przebiją.



Grupa ekspertów w Stoczni Gdańskiej – Bronisław Geremek, Tadeusz Kowalik (częściowo zastonięty), Jerzy Stembrowicz, Jan Strzelecki, Bohdan Cywiński, Andrzej Wielowieyski, Tadeusz Mazowiecki, przed nimi Anna Walentynowicz, sierpień 1980 r. Fot. Józef Borusewicz, zbiory ECS

A.K.: Na czym polegał panów mandat? Czy zostaliście zobowiązani przez sygnatariuszy apelu do zajmowania jakiegoś określonego stanowiska?

T.M.: No nie, przecież było 64 sygnatariuszy, trudno byłoby pobrać od nich wszystkich jakieś uzgodnione instrukcje. Ale mieliśmy pełnomocnictwa od inicjatorów apelu, wywodzących się ze środowisk skupionych w Towarzystwie Kursów Naukowych oraz w Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Nasz wyjazd był przedyskutowany. Zostaliśmy, można powiedzieć, wyekspediowani przez jednego z najaktywniejszych członków TKN, prof. Adama Kerstena, który zaopatrzył nas w paliwo do samochodu, towar zupełnie wówczas niedostępny. Jeździłem z nim zresztą zbierając podpisy i wspomnienie o tym zachowuję do dzisiaj, ponieważ Kersten prowadził auto jak szalony, w straszliwym tempie, i towarzyszyłem mu z duszą na ramieniu. Był nie tylko świetnym profesorem historii, ale też umiał załatwić różne przyziemne rzeczy, np. właśnie benzynę.

A.K.: Tak, był znany z praktycznego zmysłu. Uchodził za jednego z najlepszych instruktorów drukowania przy użyciu takich prymitywnych urządzeń, jak ramka, sito i pasta Komfort.

T.M.: On więc nas wyekspediował wczesnym popołudniem 22 sierpnia. Jak już parę razy opowiadałem, pojechaliśmy okrężną trasą. W Płońsku skręciliśmy nie w prawo, najprostsza droga, tylko w lewo, żeby przez Toruń i Łębork wjechać do Gdańska od północy, tak jakbyśmy wracali z wczasów nad morzem. Założyliśmy, że na drodze wprost do Gdańska możemy zostać zatrzymanymi. To nie było pozbawione sensu, bo dowiedzieliśmy się później, że rzeczywiście zatrzymywano podróżnych na tej trasie. Zorientowaliśmy się także w czasie jazdy, że mijają nas i zatrzymywały się na odpoczynek samochody pełne niby-robotników, ubranych w podejrzanie świeżutkie kombinizony. To była Służba Bezpieczeństwa, ściągana z całej Polski do Gdańska.

A.K.: Czy przed panów wyjazdem apel był już znany władzom?

T.M.: Ja sam nie brałem w tym udziału, ale przeczytałem, co kiedyś Bronisław Geremek napisał, że przed wyjazdem zdążył złożyć go w biurze podawczym w KC PZPR. Uważaliśmy też, że powinniśmy go doręczyć nie tylko komitetowi strajkowemu w Stoczni Gdańskiej, ale również miejscowym władzom. To był apel o to, żeby podjąć rozmowy, zrobić wszystko, byleby nie doszło do rozlewu krwi. Miał dwóch adresatów, musiał więc zostać doręczony również stronie rządowej.

I nazajutrz po wręczeniu apelu Lechowi Wałęsie i zapoznaniu z nim plenum MKS-u zanieśliśmy go do urzędu wojewódzkiego. Nie zastaliśmy wojewody, więc zostawiliśmy egzemplarz wraz z paroma słowami, że jeśli chciałby się z nami widzieć, to jesteśmy do dyspozycji.

A.K.: Jak panowie dotarli na strajk? Jakie były wasze pierwsze wrażenia z miasta, ze stoczni?

T.M.: W Gdańsku zajechaliśmy do pallotynów. Zastanawialiśmy się, jak dojść do stoczni, żeby nas nie zatrzymano. Jeden z księży zaofiarował się, że nas zaprowadzi. Zarekomendował nas przy bramie, kim jesteśmy i z czym przyjechaliśmy. Straż strajkowa kontrolowała wchodzących, nie każdy mógł wejść. Nie wpuszczano np. dziennikarzy krajowych mediów oficjalnych, ponieważ prasa pisała nieprawdę. Wpuszczano natomiast korespondentów zagranicznych. Weszliśmy. Porządek, spokój, powaga. Organizacja i dyscyplina. Zaprowadzono nas na salę BHP, pełną stoczniovców i delegatów innych strajkujących zakładów. Zapytaliśmy o Lecha Wałęsę, mówiąc, że chcemy mu wręczyć apel 64 intelektualistów.

Nawiasem mówiąc, z nazwiskiem Wałęsy zetknąłem się tuż przed wyjazdem. Zaszedłem do redakcji „Więzi”. Moja zapowiedź, że wybieram się do Gdańska, wywołała pewne poruszenie, a także chwilę refleksji, czy redakcji nie spotkają za to represje. No, ale po głódówce w kościele św. Marcina [członków i współpracowników KOR w maju 1977 r. w intencji wypuszczenia z więzień uczestników Czerwca '76; Tadeusz Mazowiecki był ich mężem zaufania] koledzy z „Więzi” byli już przyzwyczajeni, że przekraczam normy. Zastałem Wojciecha Wieczorka, mojego zastępcę, przy lekturze prasy zachodniej. I bodaj w jakiejś niemieckiej gazecie wyczytał, że przywódca strajkujących nazywa się Lech Wałęsa i „jeszcze będzie o nim słyhać”. No więc dotarliśmy do sali BHP i musieliśmy zaczekać, ponieważ odbywało się posiedzenie prezydium MKS-u. Tego dnia zakończyła się misja wicepremiera Tadeusza Pyki...

A.K.: ...który chciał porozumiewać się z załogami strajkujących zakładów, nie przyjmując do wiadomości istnienia MKS-u.

T.M.: Chciał w ten sposób rozbić jedność strajkujących. To dążenie do dezintegracji było zresztą łatwe do przewidzenia. I kiedy tak czekaliśmy w sali BHP, zdarzyło się coś, co uprzytomniło mi bardzo ważną rzecz. Rozmawialiśmy z korespondentami zagranicznymi, w dość licznym gronie, gdyż oprócz dziennikarzy obecni byli też ich tłumacze i inni ludzie im pomocni. Pewien człowiek, którego podejrzewałem o ukryte związki z władzami, zaczął mnie przekonywać, że Wałęsa to może nie jest dobry partner do negocjacji, że może byłoby lepiej, gdyby zastąpił go ktoś inny. Uświadomiłem sobie wówczas, czekając na Lecha Wałęsę, jak niezwykle ważne jest umocnienie przywództwa. Że strajkujący muszą mieć naprawdę jednego niekwestionowanego przywódcę, wobec którego będą lojalni, ponieważ pierwszym zabiegiem władzy będzie dążenie do ich rozbitcia.

Mieliśmy jakieś polecenia z Warszawy, nie pamiętam czyje, do Andrzeja Gwiazdy, no i oczywiście do Bogdana Borusewicza. Poznaliśmy też wtedy pana Lecha Bądkowskiego, wybitnego gdańskiego pisarza, niezwykle twardego człowieka, bardzo zresztą krytycznego wobec Wałęsy. On znalazł się w stoczni przed nami, nie byliśmy tam więc bynajmniej pierwszymi intelektualistami, ale nasz apel miał ogromne, ogólnopolskie znaczenie. Bardzo mi przypadł do gustu pan Bądkowski. Był rzecznikiem MKS-u, czyli jego przedstawicielem wysuniętym na pierwszą linię. Widziałem, jak bardzo rzeczowe są jego komunikaty i jak bardzo rzeczowy ma stosunek do całej sprawy. Bez żadnej fanfaronady, a przecież o to nie było trudno. Właśnie to poczucie odpowiedzialności ludzi z komitetu strajkowego uderzyło nas mocno od pierwszej chwili. Wszystko, co się tam wtedy działo, było przecież wielką niewiadomą. I to szalenie mocne poczucie odpowiedzialności coraz bardziej nam imponowało.

A.K.: A spotkanie z Wałęsą?

T.M.: Przyszedł do nas bardzo już późnym wieczorem. Wręczyliśmy mu apel, o którego istnieniu oni już wiedzieli, bo radia zagraniczne o nim poinformowały jako o ważnym wydarzeniu. Wałęsa uważnie go przeczytał. Po czym zapytał: – A konkretnie, to w czym byście nam mogli pomóc? No i tak we trzech, Wałęsa, Geremek i ja, nad tym się zastanawialiśmy. Powstał pomysł, żeby powołać komisję ekspertów. My będziemy starać się pomóc, ale nie będziemy współdecydować. To było niezwykle ważne w naszym wzajemnym stosunku.

Pierwszym założeniem było, że nie mogą dać się władzy podzielić. Drugim, żeby nie dostarczyć argumentu, że ktoś z zewnątrz kręci robotnikami. Czyli przywództwo żeby było rzeczywiste i mocne, a nasza rola pomocnicza. Wałęsa zrobił na mnie wrażenie twardego człowieka, który wie, czego chce.

No, a potem Bogdan Borusewicz pokazał nam, gdzie możemy się przespać, czyli potraktował nas normalnie, tak jak wszystkich innych, bez żadnej ulgi. I to mi się też bardzo podobało. Następnego dnia przemawiałem do plenum MKS-u. Powiedziałem o apelu i jak zamierzamy postępować, wypełniając powierzoną nam misję ekspercką. Padło po tym pytanie: – A jak długo tu zostaniecie? Bez namysłu odpowiedziałem: – Do końca. I to była po prostu deklaracja wierności w stosunku do nich, dlatego że nikt nie wiedział, jaki ten koniec będzie. Myślę, że ta spontaniczna odpowiedź zadecydowała o zaufaniu, jakim zostaliśmy obdarzeni.

A.K.: Nocowali panowie w stoczni czy chodzili spać do pallotynów?

T.M.: Za pierwszym razem w stoczni. A potem różnie bywało. Czasem zostawaliśmy na noc w stoczni, ale raczej wracaliśmy do pallotynów, choćby dlatego, że tam można było porządnie się umyć.

Nazajutrz, 23 sierpnia, poszliśmy do wojewody. Dowiedzieliśmy się, że zamiast Pyki przyjechał już wicepremier Mieczysław Jagielski – obiecująca wiadomość, ponieważ to właśnie Jagielski sprawnie rozwiązał strajki w Lublinie – i wojewoda Jerzy Kołodziejski jest z nim zajęty. Zostawiliśmy apel i zajęliśmy się kompletowaniem zespołu ekspertów, czyli telefonowaniem do Warszawy i ściąganiem wybranych osób.

A.K.: Czym kierowali się panowie, zapraszając ekspertów? Bronisław Geremek zatelefonował do Tadeusza Kowalika; zamiast imion i nazwisk pozostałych ekspertów wymieniał tytuły ich książek. Byli to autorzy: *Rodowódów niepokornych* – czyli Bohdan Cywiński,

Po wielkim skoku – Waldemar Kuczyński i Przed trzecim przyspieszeniem – Andrzej Wielowieyski. Zamówił także „jakiegoś dobrego prawnika”; Kowalik zaproponował Leszka Kubickiego z Instytutu Państwa i Prawa PAN.

T.M.: Szło nam o zebranie ludzi kompetentnych, którzy zarazem będą – jak się spodziewaliśmy – umieli ze sobą dobrze współpracować. Nie można było w tych warunkach tworzyć komisji z Bóg wie jakich ekspertów, którzy zamiast współdziałać, toczyliby zawzięte spory. Zakładaliśmy ponadto, że ci, których zaprosiliśmy, będą się kierować taką samą rozważą i odpowiedzialnością.

To założenie, które można było jeszcze przyjmować, pisząc w Warszawie apel do dwóch stron wielkiego konfliktu – że jesteśmy elementem usytuowanym pomiędzy władzą a strajkującymi, będziemy mediować – odrzuciliśmy natychmiast po przyjeździe do Gdańska. Od pierwszej chwili stało się jasne, że musimy stanąć po jednej stronie, nie ma mowy o mediacji, bo władza jej nie przyjmie, natomiast naszym celem jest po prostu pomóc komitetowi strajkowemu.

Gdy w niedzielę 24 sierpnia przybyli zaproszeni przez nas eksperci, natychmiast powiedzieliśmy im o tym. To spowodowało, że jeden z nich, prawnik prof. Leszek Kubicki wycofał się, ponieważ nie widział się w roli eksperta strony stoczniowej, tylko mediatora. Wszyscy inni, tak jak przewidywaliśmy, zgodzili się. Cywińskiego i Wielowieyskiego znałem dobrze i długo. Kowalik był *spiritus movens* apelu intelektualistów; to on do mnie z tym projektem przyszedł. Waldemara Kuczyńskiego znałem z książki *Po wielkim skoku*, która zrobiła na mnie wrażenie dobrej, rzeczowej krytyki gospodarki okresu gierkowskiego.

A.K.: A Jadwiga Staniszkis?

T.M.: Ona już była w stoczni, ale nie na nasze zaproszenie.

A.K.: Zaprosił ją Piotr Kapczyński, współpracownik Bogdana Borusewicza (razem drukowali ulotki na 14 sierpnia, wzywające do strajku w obronie Anny Walentynowicz). Kapczyński kończył handel zagraniczny w Warszawie i znał ją ze studiów.

T.M.: Możliwe. Ja niewiele wiedziałem o Jadwidze Staniszkis, ale koledzy powiedzieli mi, że jest wybitną socjolożką i było oczywiste, że należy ją włączyć do tego grona.

A.K.: Jak została umocowana komisja ekspertów? Przy Wałęsie, przy prezydium?

T.M.: Przy prezydium MKS-u. Braliśmy udział w posiedzeniach prezydium. Zadawano nam pytania, wypowiadaliśmy się z własnej inicjatywy. Ocenialiśmy sytuację w danym momencie, podsuwaliśmy rozwiązania.

A.K.: Czy był podział zadań pomiędzy ekspertami?

T.M.: Był, ale tworzył się w miarę potrzeb, gdy ruszyły rozmowy. Tadeusz Kowalik, Waldemar Kuczyński i Andrzej Wielowieyski zajęli się np. problematyką ekonomiczną.

A.K.: Zespół został później poszerzony.

T.M.: Po rezygnacji Kubickiego przyjechał prawnik prof. Jerzy Stembrowicz. Skład ekspertów został podany w komunikacie prezydium MKS-u o powołaniu komisji, gdy Stembrowicza jeszcze w Gdańsku nie było, formalnie więc nie był członkiem komisji, ale był bardzo czynny, wiele spraw z nim konsultowaliśmy i okazał się bardzo pomocny.

A.K.: **Oczekiwaliście na pytania ze strony MKS-u czy podejmowaliście problemy według własnego uznania?**

T.M.: Jedno i drugie. Na początku chodziło o to, żeby kierownictwo strajku jak najlepiej przygotowało się do negocjacji z delegacją rządową, miało własną strategię i koncepcję, jak one mają się potoczyć. Przedstawiliśmy opinię, że najważniejszy jest pierwszy postulat, dotyczący wolności tworzenia związków zawodowych, do czego prezydium MKS-u nie trzeba było zresztą przekonywać. Kładliśmy nacisk na to, że rozmowy będą się toczyć na temat wszystkich 21 postulatów, ale kluczowy jest pierwszy, a zatem nie wolno niczego podpisywać ani potwierdzać, że coś udało się już uzgodnić, dopóki nie rozstrzygnie się sprawa pierwszego postulatu, dopóki ta najważniejsza rzecz nie zostanie zadowolająco załatwiona.

Oczywiście w miarę przebiegu rozmów strategia była dopracowywana i uszczegółowiana, kreśliło się koncepcje kolejnych kroków. Z szukaniem argumentacji, która mogłaby zostać użyta. Już po pierwszej turze rozmów wyłoniona została do przygotowania propozycji rozwiązań mała grupa...

A.K.: **Grupa robocza, którą wicepremier Jagielski zaproponował na zakończenie negocjacji 26 sierpnia?**

T.M.: Tak. Z tamtej strony przewodniczył jej wojewoda Jerzy Kołodziejski, a należeli: Tadeusz Fiszbach, kierownik wydziału w KC PZPR Zbigniew Zieliński – zgodnie z regułą, że musi w takim gronie znajdować się jeden człowiek twardszy od innych – który w imieniu „twardogłowych” odgrywał rolę strażnika ortodoksji, a także eksperci, m.in. profesorowie Józef Pajestka i Antoni Rajkiewicz. Przewodniczącym naszej części grupy roboczej był Andrzej Gwiazda, ponadto Bogdan Lis i Zdzisław Kobyliński, a spośród ekspertów Kowalik, Staniszki i ja. Naszym zadaniem było toczyć dyskusję, która by przybliżała stanowiska obu stron na rozmowy plenarne. No i oczywiście zajmowaliśmy się różnymi tematami, ale ciągle powracał ten najważniejszy. Postulat numer jeden: wolne związki.

A.K.: **Co się dalej działo z dorobkiem grupy roboczej? Stanowisko, które udało się wam wypracować, wracało pod obrady prezydium czy od razu było traktowane jak instrukcja dla negocjatorów na obrady plenarne?**

T.M.: Relacje z obrad grupy roboczej przekazywane były Wałęsie i całemu prezydium przed rozmowami plenarnymi. Zresztą trzech jej członków należało do prezydium MKS-u – Gwiazda, Lis i Kobyliński. W naturalny sposób przechodziło więc to do prezydium. Jeżeli coś zostało przez obie strony grupy roboczej uzgodnione lub było bliskie uzgodnienia, zapisywano i w trakcie rozmów formalnych obie strony to na ogół akceptowały.

Rozmowy zresztą ciągle wracały do głównego punktu spornego. Delegacja rządowa przedkładała nam w zasadzie ciągle tę samą koncepcję, z mało istotnymi zmianami – przystąpienie do Centralnej Rady Związków Zawodowych. Tłumaczyła, że istnieje ustawa związkowa, która dopuszcza tylko jedną centralę, a rejestrację związków prowadzi wyłącznie CRZZ.

Skutkiem tych wielokrotnych podejść i zwrotów było to, że w porozumieniu znalazły się w końcu punkty, które formalnie były ze sobą sprzeczne. W jednym punkcie znalazła się teza, że zgoda na niezależny samorządny związek dotyczy tylko Wybrzeża, ale sformułowanie w innym miejscu można było interpretować jako wolność tworzenia nowych związków zawodowych w całej Polsce. Ale nie dążyliśmy do usunięcia za wszelką cenę tej sprzeczności, ażeby nie spowodować kolejnego usztywnienia lub wycofania się strony rządowej.

A.K.: W piśmiennictwie na temat Sierpnia '80 przewija się sprawa wariantu B, czyli wymuszonej przez władze siłą rezygnacji z zamiaru utworzenia całkiem nowych związków zawodowych (wariantu A) na rzecz przystąpienia do mniej czy bardziej zreformowanej CRZZ. Czy zespół ekspertów sformułował taki wariant B, z własnej inicjatywy albo na prośbę prezydium MKS-u, a jeśli tak, to jak został on przyjęty przez przywództwo strajku?

T.M.: Rzecz przedstawiała się następująco. W sprawie pierwszego postulatu obie strony zachowywały się nieustępliwie. Czy tego chcieliśmy, czy nie, powstawało pytanie, czy dopuszczamy jakikolwiek inny wariant niż zgoda na budowanie od podstaw zupełnie nowego związku zawodowego. Uważaliśmy, że nie można stanąć na stanowisku, że dopuszczamy inny wariant, ponieważ gdyby pojawiła się gotowość do uwzględnienia nawet w najdalszej kolejności jakiegoś innego rozstrzygnięcia, osłabiłoby to siłę naszej determinacji w odniesieniu do postulatu numer jeden. Nie można było jednak nie brać pod uwagę ewentualności, że po stronie władz przewagę zyskają ludzie wzywający do zastosowania wariantu siłowego. Trzeba więc było w dążeniu do poszukiwania kompromisu rozważyć takie rozwiązanie, które by gwarantowało zachowanie niezależności nowych związków w ramach starej centrali związkowej. Na wszelki wypadek... Podkreślam: na wszelki wypadek.

Odbyło się bodajże 27 sierpnia spotkanie z członkami prezydium MKS-u w kadłubie budowanego statku, na którym rozważano wariant B. Najpierw sprawdziliśmy, czy nie ma tam podsłuchu, zachowaliśmy też maksymalną możliwą w tych warunkach dyskrecję. Wariant B został przedstawiony bez rekomendacji ze strony ekspertów, w celu wyłącznie poznawczym, i przez działaczy odrzucony. A to, że nigdy podczas strajku nie zaistniał publicznie, jest najlepszym dowodem, że został sformułowany absolutnie i wyłącznie na wszelki wypadek.

A.K.: Czy były jeszcze jakieś kwestie sporne, kiedy komisja ekspertów musiała przekonywać do swoich propozycji nie tylko delegację rządową, ale najpierw komitet strajkowy albo jakiś odłam stoczniowej opinii publicznej?

T.M.: Były, ale nie widzieliśmy w tym nic nadzwyczajnego. Nie uważaliśmy, że mamy patent na słuszność. W wielu sprawach eksperci nie silili się na oryginalne rozwiązania, tylko doszlifowywali propozycje strajkujących, bo za nimi stało doświadczenie praktyczne.

Była też sprawa o charakterze sentymentalnym. Zauważyliśmy, że w postulatcie wolnych związków zawodowych słowo „wolne” po prostu aż kłuje w oczy przedstawicieli władz. Nie tylko z powodu skojarzenia z międzynarodową federacją wolnych związków zawodowych, radykalnie antykomunistyczną, lecz także z uwagi na istniejące dotychczas w PRL związki zawodowe, któ-

rym w ten sposób odmawiało się przymiotu wolności. Stronie rządowej bardzo zależało na tym, żeby złagodzić tę krytyczną ocenę dotychczasowych związków. A z drugiej strony znajdowali się przywódcy strajku, którzy w niemałej liczbie wywodzili się z Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Trzeba więc było znaleźć jakieś inne słowo, które by oddawało tę samą treść. Niezależne? Samorządne? Oba weszły w użycie. Potem je połączono i przyjęła się ta przydługa nazwa.

W ostatniej fazie negocjacji wynikły kontrowersje wokół żądania emisji niedzielnej mszy w radio. Strona rządowa wezwała na eksperta Adama Łopatkę, dyrektora Urzędu do spraw Wyznań. Zaczął mnie przekonywać, że na ten temat rząd powinien rozmawiać nie z komitetem strajkowym, lecz z Kościołem. Pokazałem mu przez okno tłum robotników. – To jest Kościół – odpowiedziałem, używając formuły soborowej. Episkopat wówczas chciał transmisji mszy przez radio, nie chciał jej natomiast w telewizji, ponieważ uważał – jak myślę – że to mogłoby odciągnąć ludzi od chodzenia do kościoła. No i taka propozycja nie padła, ograniczyliśmy się do żądania transmisji radiowej.

A.K.: A jak pan zareagował i jak zareagowali robotnicy na kazanie kard. Stefana Wyszyńskiego 26 sierpnia na Jasnej Górze? Na pewno jako działacze i publicyści katolicy pan i Bohdan Cywiński byliście nagabywani o wyjaśnienia.

T.M.: Ludzie byli bardzo zawiedzeni, nawet zszokowani. Zrozumieli je jako wezwanie do powrotu do pracy. Ogromnie nam zależało na tym, aby w jakiś sposób złagodzić wymowę kazania prymasa. Na szczęście rozniosła się niebawem nieoficjalna informacja, że zostało ono zmanipulowane w transmisji telewizyjnej, a następnie komunikat sekretariatu Episkopatu, że wyemitowany został tekst niepełny, a więc zniekształcony.

Dlaczego to wywołało taki szok? Wątki religijne były bardzo widoczne i ważne podczas strajku. Obrazy religijne i portret papieża na bramie stoczniowej. Zbiorowe modlitwy, masowe spowiedzi, msze. No i oczywiście skoro telewizja nadała kazanie prymasa, wszyscy przybiegli go wysłuchać. I było wielkie rozczarowanie.

Moja reakcja? Że prymas nie ma dobrego rozeznania sytuacji. Ale również, że może on dostrzega zagrożenia, których my nie widzimy. Ciągle wisiło pytanie, czy Wielki Brat będzie interweniować. Nie tylko my je sobie zadawaliśmy. Doskonale pamiętam, jak podczas obrad grupy roboczej na salę wszedł sekretarz wojewody i podał mu jakąś kartkę. Wojewoda Kołodziejski przeczytał ją i zbladł. Podczas przerwy zapytałem, co to za wiadomość. Odpowiedział, że informacja, nie całkiem pewna, że okręty radzieckie stoją na redzie.

Musieliśmy ciągle zważać, żeby nie przeciągnąć struny, żeby nie stało się coś najstraszliwszego. Ale równocześnie mieliśmy świadomość tego, że tylko pełna nasza determinacja może doprowadzić do sukcesu, który jest na wyciągnięcie ręki. Ta władza nie chce powtórzenia się roku 1970 – to nam mówili doradcy strony rządowej. Profesor Rajkiewicz, pamiętam, powiedział, że Gierek już wie i pogodził się z tym, że odejdzie, ale nie chce odejść z krwią robotniczą na rękach. To było już w przeddzień podpisania porozumienia. No ale z kolei po tym, jak Jagielski latał do stolicy w tę i z powrotem, widać było, jak bardzo decyzje uzależnione są od Warszawy.

Dla nas zaś bardzo istotna była łączność ze Szczecinem. Był z nami przedstawiciel szczecińskiego MKS-u Stanisław Wądołowski. Bardzo nalegaliśmy, żeby Szczecin nie podpisywał porozumienia przed nami, ponieważ negocjujemy korzystniejsze możliwości startu NSZZ. Krytykom formuły o uznawaniu przez nowe związki kierowniczej roli PZPR w państwie sugeruję porównanie z zapisem o socjalistycznym charakterze nowych związków w porozumieniu szczecińskim.

A.K.: Spór o „kierownicę” nie wygaś do dziś...

T.M.: Przecież ten strajk nie był strajkiem o przejęcie władzy w Polsce, tylko o wolność organizowania się związki zawodowe. Co już i tak – wiedzieliśmy – wniesie wielką zmianę. Powstanie niezależnych od PZPR związków zawodowych zmieni ustrój. Ale nie będzie sięgnięciem po władzę, to przecież było wówczas niemożliwe. Należało więc zaproponować kompromis, określając granice tej władzy w stosunku do nowo powstających związków zawodowych. Zastanawialiśmy się nad tym i w nocy, pamiętam, przyszło mi do głowy to sformułowanie, nad którym od jakiegoś czasu już przemyślałem. Bo można było powołać się na konstytucję. Ale stosunkowo niedawno odbyła się głośna akcja protestów [w 1976 r.] przeciwko niekorzystnym zmianom w ustawie zasadniczej, więc akurat powoływanie się na tę zmienioną konstytucję mogłoby zostać uznane za akceptację tego, czego nie chcieliśmy zaakceptować. Dlatego uważałem, że trzeba poszukać innej formuły niż konstytucyjna. Ta, na którą w końcu wpadłem, mówiła o uznawaniu kierowniczej roli PZPR w państwie – a nie w społeczeństwie, jak głosił zapis w konstytucji. Zaraz w następnych słowach mówiło się zaś o niezależnych związkach zawodowych, co oznaczało, że ta sfera jest już wolna od dominacji partii. Pamiętam, jak Andrzej Gwiazda pokazał mi uniesionym kciukiem, że uważa to za dobrą formułę.

A.K.: Różnica pomiędzy obydwooma sformułowaniami jest subtelna. Może nie została dostatecznie jasno objaśniona.

T.M.: Wymagało to, oczywiście, tłumaczenia.

Dlaczego dążyłem do przyjęcia tej formuły? Byłem przekonany, że musi nastąpić jakiś kompromis z naszej strony. Jeżeli nie zrobimy takiego kroku, to władza poczuje się przyparta do muru, a wtedy twardogłowi wezmą tam górę.

Trzeba było sobie uświadomić, co potencjalnie ta formuła w sobie zawiera: my nie sięgamy po władzę, ale też nie uznajemy władzy PZPR w związku zawodowym. Czyli władza partii obejmuje administrację państwową, ale nie rozciąga się na społeczeństwo. A to wyznacza strefę wolności i niezależności, samorządności.

Wiedziałem, że część ludzi nie wyraża zgody na tę formułę. Ale przywódcy, którzy wykazywali tak ogromną odpowiedzialność za kierowanie strajkiem, za negocjacje, stali za nią. I Wałęsa, i Gwiazda, i Lis, i w gruncie rzeczy całe prezydium MKS-u. Rozumiałem, że to trzeba wytłumaczyć i może powstawać pewna demagogia na tym tle. Doszło do istotnej rozbieżności poglądów pomiędzy komisją ekspertów i Jadwigą Staniszkis. Uważaliśmy, że ona się jakoś w tę demagogię włącza.

A.K.: A czy miał pan wtedy poczucie, że wasze rady idą pod prąd oczekiwań społeczności strajkowej, że w MKS-ie istniał nurt wyraźnej opozycji przeciwko kierunkowi, który przybrały negocjacje? Komisja ekspertów do dziś bywa przedstawiana jako bardziej ugodowa od strajkujących robotników, gdyż zaproponowała kompromisy za daleko idące, można było wynegocjować lepsze porozumienie, wywalczyć znacznie więcej...

T.M.: Zdumiewające opinie. Trzeba się wczuć w tamten czas, by wiedzieć, jak wiele zostało wywalczone. Wolne związki zawodowe. Uwolnienie więźniów. Zapowiedzi złagodzenia cenzury, realizacji postulatów ekonomicznych. Co można było wywalczyć więcej? Te zastrzeżenia są ex

post formułowane. To, co osiągnięto, było wielkim, absolutnie wielkim sukcesem. Nie sięgnięto po władzę, ale *de facto* zmieniono warunki życia w tym ustroju. Została stworzona wielka strefa wolności i niezależności. Że to się rozleje po całym kraju, nie było jeszcze całkiem pewne. Ogromną rolę odegrały strajki wybuchające w innych miastach, zwłaszcza na Śląsku. To tąpnięcie na Śląsku okazało się bardzo istotnym czynnikiem ułatwiającym dokończenie negocjacji, bo władza widziała, że ruch strajkowy ogarnia cały kraj. Dlatego kwestia, czy zgoda na nowe związki ma zasięg ogólnopolski, czy regionalny, stała się w tym momencie drugorzędna. Wiadomo było, że inni podchwycą zdobycze gdańskie.

Radziłbym tym, którzy takie sądy wygłaszają, wrócić pamięcią do 1 września 1980 r. i wczuć się w atmosferę tego dnia, w którym gazety w całej Polsce opublikowały porozumienie. To był przecież tekst rewolucyjny. I tak został w całej Polsce odczuty.